Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 28. Sierpnia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 35.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZŁOTA NITKA

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

Panu Leopoldowi Meyetowi w dowód wdzięcznej przyjaźni ofiaruje

autorka.

Czy taki dzień, jakim był dzisiejszy, nazwać można pięknym czy brzydkim? sama nie wiem. Zależy to zapewne od upodobania i usposobienia. Jedni lubią słońce upalne i błękity usiane iskrami, inni zmęczeni może nieco — któż oprócz nich powiedzieć może czem? — z rozkoszą topią oczy w chmurnem sklepieniu, w mgle, w zmroku.

Dziś po południu wyszłam na przechadzkę, za dwór, za drogę, którą jeżdżą i chodzą ludzie, w pole, daleko. Jeszcze to niby lato, ale zboża już zżęte, ziemię okrywa kolczata ścierń, pośród której, na miedzach, sterczą tu i owdzie kąkole, dziewanny i polne grochy. Dzikie grusze stróżujące nad pustemi zagonami jeszcze zielone, ale od skwarów i kurzawy przywiędłe i ciemne, brzozy zaś i olchy, dokoła ogrodu dworskiego i przy drodze rosnące, połyskują zdala niby rzeźbami z bronzu, zżółkłemi gałęźmi, pracy ludzkiej, ruchu i gwaru, które jej towarzyszą— ani śladu. Wieś nawet, długim rzędem chat na tle półkolistego lasu szarzejąca, nie daje znaków życia. Zkądciś tylko, z przeciwnej strony drogi, płyną powietrzem melancholijne wołania, któremi oracze napędzają leniwe swe woły; od dworu dochodzi basowy turkot młócarni, podobny zdala do podziemnego, nieustającego grzmotu; pod czarnym lasem wiją się sine wstęgi dymów, oznaczające miejsca pastwisk, które też od chwili do chwili odzywają się przenikliwym, kilka nut żałośnych do nieskończoności powtarzającym, śpiewem fujarek. Nad tem wszystkiem, niebo od skłonu do skłonu okryte płachtą białych obłoków, gdzie niegdzie tylko wzdymającą się w ciemne, na różny sposób wyrzeźbione chmury, a pośrodku nieba, z za białej płachty, w miejscu tem niby muślin rozrzadzonej, tarcza słoneczna omglona, bez promieni, do okrągłego blado złotego opłatka podobna. Mylę się. Nie była ona całkiem bez promieni; bo gdy ścigając okiem jaskółki, które długim, czarnym sznurem ciągnęły ku zachodowi, spojrzałam na to blade i smutne słońce, zobaczyłam promień jego jeden, jedyny, złotą niby nitkę, która świeciła i urywała się wysoko.

Kto mi wskaże te napowietrzne drogi, któremi przylatują do nas wspomnienia? Kto mi powie dlaczego pogoda dzisiejsza taka smutna i taka cicha, przyniosła przed pamięć moją jedną znaną mi kiedyś kobietę i jeden moment z jej życia? Było to przypomnienie tak nagłe i wyraźne, że w chwili właśnie gdy patrzałam na ów promień słoneczny, bardzo wysoko świecący, pomiędzy nim a oczami memi przesunęła się jak żywa i nawet uśmiechnęła się do mnie, piękna lecz bardziej jeszcze niż piękna, zajmująca twarz Felicji Olińskiej.

Po raz pierwszy zobaczyłam ją wtedy, gdy ze wsi przybywszy do Ongrodu, odwiedziłam dom Józefa Olińskiego. Odwiedziłam go z przyczyny interesów pieniężnych, musiałam przeto coś o nim wiedzieć. Wiedziałam, że Józef Oliński był ex-właścicielem ziemskim, który, sprzedawszy majątek swój, osiadł na miejskim bruku częścią z potrzeby, częścią z dobrej woli; że był on człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości; że dość zamożnym, lecz wcale nie bogatym będąc, utrzymywał w domu swym wiele osób do bliższej i dalszej rodziny jego należących; że nakoniec żonatym był po raz drugi i z pierwszego małżeństwa miał troje dzieci. Takiemi wiadomościami zaopatrzona, weszłam do saloniku dość obszernego a napełnionego osobami różnej płci i różnego wieku.

Na spotkanie moje, od kartowego stolika, z nad którego powstał, postąpił gospodarz domu, człowiek około pięćdziesięcioletni, z leniwą trochę i senną ale sympatyczną powierzchownością. Wysoki i barczysty, musiał on mieć za młodu postawę piękną, którą nadwerężała teraz znaczna otyłość. Jasno płowe i siwiejące włosy jego w szczególny sposób odbijały od czerstwej, rumianej twarzy, pośród której świeciły blado błękitne, pełne dobroci oczy. Ta to właśnie dobroć, wyraźnie uwydatniająca się nietylko w spojrzeniu, ale w wyrazie ust i uśmiechu jego, czyniła go sympatycznym. Powitał mię nie jako osobę dla interesu przybywającą, ale jako miłego gościa i od razu, niezgrabnie trochę lecz bardzo poczciwie, wprowadził mię w koło swej rodziny. Odbyło się to w ten sposób, że naprzód, zupełnie niespodzianie usłyszałam wymienione własne swoje nazwisko, a potem przez pięć minut brzmiały mi w uszach imiona i tytuły przedstawianych mi osób.

— Matka moja, Franciszka Olińska; ciotka moja, Anna Liniewska; wuj mój, Alojzy Choimski; siostra moja, Michalina Olińska; córka moja, Emilja; syn mój, Władysław; synek mój, Mieczyś; goście nasi i przyjaciele: pani Zuzanna Skwierska, pan Ludwik Okimski.

Skończywszy zapytał:

— A gdzież Felcia?

Zapytanie to dało początek następującej, krótkiej lecz żwawej rozmowy:

— Toż przecie do miasta poszła.

— Po co? czego?

— Toż przecie po ciastka.

— Po jakie ciastka?

— Ależ mój Józiu, do kawy przecie...

— To czemuż kto inny nie poszedł?

— Ależ mój papo, przecie nikt tak papie nie dogodzi...

— To prawda. Ale zaraz powróci?

— Naturalnie zaraz; bo i my w »bałamuta« grać nie możemy.

— A dlaczegoż nie możecie?

— Bo klucz od komody w której karty — u niej.

— Przepraszam, bardzo panią przepraszam — zwrócił się do mnie pan Oliński — ale chciałem przedstawić pani jeszcze i żonę moją. Gromadka nas jest, jak pani widzi, spora, ale jakoś — dzionek po dzionku przechodzi i... dobrze! przyznam się nawet pani dobrodziejce... choć to może i wstyd trochę, że od czasu, jak porzuciliśmy wiejskie kłopoty i nudy, a osiedliśmy sobie w miasteczku, odżyliśmy wszyscy. Zawsze tu jakoś to ten, to ów odwiedzi, pogawędzi, i... w preferansika...

— Kościół blizko — przerwała matka.

— Doktor i apteka pod ręką — dorzuciła ciotka.

— Ga... ga... ga... gazety co... co... codzień — wypowiedział mocno zająkliwy wuj.

— Żeby tylko nie gimnazjum i ja byłbym wielkim amatorem miasta — zaśmiał się ośmnastoletni chłopak w szkolnym mundurze.

— O, miasto! Wstydź się Władziu, taką dziurę miastem nazywać! — sarknęła córka Emilja, dwudziestoletnia panna siedząca na szeslągu w postawie trochę niedbałej, w lokach, wstążkach i pantofelkach, z których wyglądały różowe pończoszki.

— Przepraszam — powtórzył znowu uprzejmie gospodarz — pani dobrodziejka życzy sobie podobno pomówić ze mną o interesie, proszę, bardzo proszę...

Prowadził mię do kanapki, tak od najbardziej zaludnionych miejsc salonu oddalonej, że poufna nawet rozmowa spokojnie tam prowadzoną być mogła.

Interes zresztą ani tajemniczym był, ani bardzo ważnym. Rozmawiając o nim, przypatrywałam się osobom w salonie zgromadzonym. Były to postacie bardzo rozmaite, lecz bardzo zwyczajne.

Staruszka matka była wcale miłą staruszką. Białe garnirowanie czepka jej ładną tworzyło ramę dla pomarszczonej lecz okrągłej i rumianej twarzy, której rysy, pospolite, lecz żadną szpetotą nie rażące, uderzająco powtarzały się w twarzy jej syna. Nie wydawała się wcale schorowaną ani niedołężną, a tylko trochę niezadowoloną. Siedziała właśnie przy otwartym do gry stoliku, od którego powstał był p. Józef, a przy którym siedzieli też przyjaciele domu. Niecierpliwiła się widocznie przerwą zaszłą w ulubionej zabawie. Przytem jednak rozmawiała ciągle z siedzącemi przy niej przyjaciółkami, którym już nie przypatrywałam się, bo znałam je dobrze. Słyszałam tylko, że pani Skwierska, czterdziestoletnia wdowa po urzędniku, babina nieposzlakowanej cnoty i wielkiej wymowy, z gestykulacją i mimiką, którejby jej niejeden z mówców wielkiej szkoły pozazdrościł, powtarzała co do słowa prawie przeszłoniedzielne kazanie ks. Hajdeckiego, w farze.

Ludwik Okimski za to, tłuściutki, malutki i wygolony obywatel miejski na całe miasto słynny z nieocenionego dowcipu i humoru swego, posługiwał się wakującemi kartami od preferansa dla dokonywania z ich pomocą różnych sztuk z czarodziejstwem prawie graniczących. Karty w obu rękach trzymane za plecy swe chowając, albo też je ze zręcznością niesłychaną na stole rozkładając i mięszając zwracał się przedewszystkiem do panny Michaliny Olińskiej, której pyszne i pysznie uczesane złociste włosy przyozdabiały twarz trzydziestokilkoletnią, ładną niegdyś, teraz mocno przywiędłą i wyrazem doznanych zawodów nacechowaną. Zawody te nie przeszkadzały przecież błękitnym oczom jej z niesłychanem zajęciem topić się w pulchnej, wygolonej a wesołej twarzy miejskiego obywatela.

Dwaj gimnaziści za to, z których jeden był dzieckiem jeszcze, drugi dorosłym prawie młodzieńcem, nie doświadczali na widok sztuk kartowych żadnych uczuć innych, prócz najżywszej żądzy zbadania i zdobycia wszystkich ich tajemnic. Z ust ich sypał się grad zapytań i próśb tak ogłuszających, że aż Alojzy Choimski, chudy i łysy ex-profesor, w starym profesorskim mundurze, ze złoconemi guzami u okna siedzący, a w czytaniu gazety zatopiony, sykał z gniewu i gazetą swą z przeraźliwym szelestem co chwilę ku wrzaskliwej grupie powiewał.

Szelesty te drażniły znać nerwy niemłodej, bladej i widocznie bardzo dobrej Anny Liniewskiej, ciotki, która w wyszywaniu włóczkami siatkowej serwety pogrążona podnosiła od chwili do chwili głowę i z kolei sykała na pana Alojzego. Ile razy zaś syknęła, tyle razy pan Alojzy z rozczulonym prawie wyrazem twarzy pochylał się ku niej i na przeprosiny rękę jej zaopatrzoną w długą igłę całował; co też ją, aż do nowego szelestu gazety, najzupełniej rozbrajało. Głębszą i trwalszą znać troską jej było dobieranie kolorów włóczek, któremi serwetę swą wyszywała, bo nagle podniosła głowę, w trochę jeszcze zalotny czepeczek ustrojoną i z rozpaczliwem załamaniem rąk zawołała:

— Moja pani Zuzanno, proszę mi poradzić! już ja doprawdy nie wiem, jaką tu różę zrobić: różową czy żółtą?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WSPOMNIENIA I PISMA

Z CZASÓW MOJEGO WYGNANIA

przez

LUDWIKA KOSSUTHA.

(Ciąg dalszy)

Rozmowa z Napoleonem III.

Napoleon pierwszy przemówił. Oznajmił, że może żywię ku niemu urazę za to, że nie dozwolono mi przejechać przez Francję, gdy onego czasu jechałem z Azji Mniejszej do Anglji. Zapewnił więc z tego powodu, że uczynił to z wielkim żalem, ale że był zmuszony tak postąpić, w owej epoce bowiem umysły były w wielkiem poruszeniu i niewątpliwie stutysięczne tłumy gromadziłyby się na drodze, którąbym przejeżdżał, zanim znalazłbym się w Paryżu, a z okoliczności tej z pewnością umieliby skorzystać stronnicy bezrządu i nie omieszkaliby wywołać zaburzeń.

Odpowiedziałem cesarzowi, że dawno już zapomniałem tej drobnej przykrości, skoro ona w niczem nie dotyczyła mojego kraju, ale była czysto osobistej natury.

— Skoro jednak mówimy o przeszłości, Najjaśniejszy Panie, mówiłem dalej, niechaj mi wolno będzie wspomnieć o przykrości zupełnie odmiennej natury, a wywołanej rezultatem ostatniej wojny wschodniej, która tyle dostarczyła mi wątku do przypuszczeń, rojeń, i nadziei odnośnie do mej ojczyzny. Jest to wszakże także rzecz miniona. Teraźniejszość daje nam w tej chwili nową nadzieję, która pozwala przypuszczać, że to co nie stało się wówczas, stać się może w dzisiejszej dobie; chciej zatem, Najjaśniejszy Panie, przyjąć na samym wstępie zapewnienie, że jeżeli dano mi będzie powitać w twej osobie wybawcę mojego zbolałego narodu, może Wasza Cesarska Mość liczyć zawsze i w każdej okoliczności na zupełne nieograniczone poświęcenie i nigdy niewygasłą wdzięczność, nietylko moją, ale każdego Madjara.

Cesarz. — Całem sercem pragnę spełnić te życzenia. Dołożę po temu wszelkich usiłowań. Wszystko jednak zawisło od okoliczności. Polityka z niemi liczyć się musi. Książę poznajomił mię z pańskiemi poglądami. Jeżeli dobrze zrozumiałem, tedy od spełnienia dwóch warunków czyni pan zależnym udział Węgier w obecnej wojnie. Pierwszym z tych warunków jest, abym rozszerzył widownię wojny w kierunku Dunaju i Theissy (Cissy). Drugim warunkiem jest wysłanie moich wojsk do Węgier i wydanie proklamacji, w której powołując się na wolę narodu, wyrażoną w uchwale sejmu węgierskiego z r. 1849, zawezwałbym Węgry w charakterze sprzymierzeńca, aby w imię tejże uchwały stały się niepodległemi i wystąpiły do walki z nieprzyjacielem. Czy dobrze zrozumiałem?

Ja. — Tak jest, Najjaśniejszy Panie, najzupełniej; jestem też przekonany, że Jego Cesarska Wysokość wytłomaczył równie dokładnie pobudki, które mię do tego postanowienia skłoniły i dla tego nie będę tu ich powtarzał.

Cesarz. — Tak, to nie jest potrzebne. Książę był wiernym tłumaczem pańskich myśli, a co więcej, bronił gorąco sprawy, która nas zajmuje. Pobudki pańskie oceniam, wreszcie sprawę tę rozważyłem. Co się tyczy proklamacji, nie widzę żadnej przeszkody, o ile drugi pański warunek okaże się w rzeczywistości możliwym. Wreszcie nie byłaby to rzecz nowa w historji mojego kraju.

Tu cesarz pochylił się nad stołem, przy którym siedział i wziąwszy stary pargamin leżący pod ręką, rzekł:

— Oto jest oryginał proklamacji, jaką wydał do Węgrów stryj mój w r. 1809. Czy jest ona panu znana?

Ja. — Jakże miałbym jej nie znać! Umiem ją prawie na pamięć: „Cesarz niemiecki niewierny

zaprzysiężonym traktatom, niepomny wspaniałomyślności...“

Cesarz. — Tak jest. Masz pan wyborną pamięć. Mamy więc *anteriorum.* Proklamacja ta nie osiągnęła skutku. To jednak nie byłoby mnie w stanie powstrzymać od podobnej proklamacji. Najprzód, inne były podówczas okoliczności niż dzisiaj. To co zaszło w roku 1848 i 1849, zmieniło zupełnie postać rzeczy, dzisiaj byłbym poparty przez patrjotów madjarskich, w których cały naród pokłada zaufanie. Tego właśnie brakowało mojemu stryjowi. Moglibyśmy zatem uważać sprawę z tego względu za załatwioną, gdyby nie zachodziła kwestja co do możliwości wysłania wojska, które oczywiście winno samą proklamację uprzedzić. Muszę jednak wyznać panu, że w tej mierze napotykamy na przeszkody, a z tych największą stanowi Anglja. Torysowskie ministerjum, które obecnie jest u steru rządu, żywi zupełną złą wolę względem mojego przedsięwzięcia, nawet o ile ono dotyczy samego półwyspu włoskiego. Uczepiło się ono gwałtem traktatów z roku 1815, które tylu już zapomniało i podarło, a które ja sam także niepoślednio nadwerężyłem, skoro traktat pomieniony skazał Napoleonów na wieczne wygnanie i potępienie, a wszyscy widzą, że jestem i gdzie jestem. Gdzie chodzi jednak o złą wolę, starczy i taki traktat za pretekst. Pomyśl pan, coby powiedziano zatem, gdybym poważył się rozszerzyć teatr wojny po brzegi Dunaju! Nie znaczyłożby to tyle, co chcieć Austrję stanowczo wykreślić z rzędu wielkich mocarstw? Otóż rząd angielski dba ogromnie o dynastję austrjacką. Wogóle bowiem polityka angielska opiera się odnośnie do Austrji na tej uświęconej tradycją zasadzie, że utrzymanie domu Habsburgów na tronie wielkiego państwa, jest rzeczą niezbędną dla dobra równowagi europejskiej. Przypuszczam więc, iż wobec takiej ewentualności, o jakiej mówimy, Anglja byłaby skłonną posunąć się bodaj do interwencji przeciwko mnie samemu, a na to narażać się nie mogę. Zechciej pan zatem, proszę, nad tem wszystkiem się zastanowić.

Książę (przerywając). — Ale Najjaśniejszy Panie, czy nie moglibyśmy zjednać sobie Anglji? Anglja zawsze chętnie myśli o Wschodzie. Gdybyśmy jej ukazali w perspektywie Konstantynopol?

Cesarz (zapalając papierosa nad lampą). — „Il ne faut jamais vouloir l'impossible“. (Nie trzeba nigdy wymagać rzeczy niemożliwych).

Ja. — Istotnie to wydaje mi się niemożliwem; nie myślałem też o tem. Ale pozwól, Najjaśniejszy Panie, że zapytam, czego cesarz spodziewa się po Anglji; czy pragnie widzieć w niej sprzymierzeńca, jak podczas kampanji krymskiej; czy ma nadzieję, że Anglja przyjmie czynny udział w wojnie?

Cesarz. — O! nie! to mi w myśli nie postało. Jedyną rzeczą, jakiej sobie życzę ze strony Anglji, jest przyrzeczenie neutralności.

Ja. — Wolno mi jest przypuszczać, że kiedy przesilenie stało się groźnem, dzięki ultimatam rządu austrjackiego, podobnemu bardzo do wypowiedzenia wojny, wówczas rząd W. C. Mości przedsięwziąć zapewne musiał w Londynie odpowiednie kroki, aby zbadać, jaka byłaby postawa Anglji, na wypadek, gdyby W. C. Mość interweniował czynnie. Na tej podstawie, pozwól Najjaśniejszy Panie, że zapytam, czy rząd W. C. M. otrzymał już urzędowe i zaspakajające w tej mierze oświadczenie Anglji?

Cesarz. — Jeszcze nie. Zakomunikował już rząd mój podobną depeszę, ale odpowiedzi jeszcze nie otrzymano.

Ja. — Rząd angielski bardzo chętnie pospieszyłby na pomoc Austrji, ale z uwagi na prąd opinji publicznej w Anglji, nie może tak daleko się posunąć i wciągnąć kraj do wojny, powodując się w tej mierze samą przyjaźnią; musiałby przedtem usprawiedliwić swe postąpienie, dowiódłszy w sposób oczywisty, że bezpośrednio interes Anglji narażony zostaje w razie neutralności na uszczerbek. Dla tego nie dziwiłbym się, gdyby rząd angielski w odpowiedzi swej obiecał zachować się neutralnie.

Cesarz. — I mnie również nie wydaje się to niemożliwem. Z uwagi jednak na dążenia obecnego gabinetu angielskiego, nie będę spokojny, jeżeli kierunek spraw angielskich pozostać ma nadal w tych samych rękach.

Ja. — Nieufność W. C. Mości pod tym względem jest najzupełniej uzasadnioną. Dla tego dobrze byłoby, gdyby dało się obalić rządy lorda Derby i właśnie podstawić mu w tym celu pod nogę kwestję polityki zagranicznej. Wówczas whigowie dochodzą do władzy i zachowują neutralność, którą przedtem musieliby rozumie się przyrzec. Otóż jeżeli W. C. Mość tego tylko żąda od Wielkiej Brytanji, pozwolę więc sobie oświadczyć, że biorę na siebie spełnienie tego *desideratum.*

Cesarz. — Jakto? Byłżebyś pan w istocie zdolny...

Ja. — Tak jest, Najjaśniejszy Panie, mam nadzieję przynajmniej. Niechaj W. C. Mość nie bierze tego oświadczenia za przechwałkę. Jestem biednym wygnańcem, to prawda i bezwątpienia nie marzę o tem, abym mógł wskazywać drogę postępowania polityce angielskiej. Znam jednak znaczenie stronnictw i wpływy, jakiemi one rozporządzają. Żyję przytem w blizkich stosunkach z tymi, którzy zdolaliby ten rezultat osiągnąć i mam nadzieję, że będę w możności tak sprawą pokierować, że uczynią to czego pragnę. Jeżeli W. C. Mość pozwoli, wyjaśnię bliżej pobudki, które dają mi nadzieję, że sprawa, o którą chodzi, będzie w pomyślny sposób załatwiona.

Najpierw zaznaczę, że opinja publiczna w Anglji jest bardzo życzliwie usposobiona dla Węgier, do czego być może i sam w pewnej części się przysłużyłem. Koniec końców, prąd sympatyczny w tym kierunku istnieje. Mogę też zapewnić W. C. Mość w sposób stanowczy, że zapowiedź wojny wschodniej dla tego została tak życzliwie przez opinję publiczną przyjęta, że ogólnie uważano ją za znakomitą sposobność do wybicia się na wolność Węgier, nadewszystko Węgier.

(Tu cesarz przerwał mi słowami: Tak jest. Wiem o tem).

Chciej wierzyć Najjaśniejszy Panie, że bynajmniej nie przesadzano, utrzymując, że skutek byłby niezawodny, gdybym mógł przemówić do narodu angielskiego w sposób następujący:

„Potężny cesarz Francuzów ulitował się nad moją biedną i nieszczęśliwą ojczyzną i postanowił dopomódz jej wybić się na wolność i odzyskać swą niepodległość. Ale potrzeba nam pomocy Wielkiej Brytanji. Nadeszła chwila, w której możecie nam czynnie dowieść sympatji, z którą tylokrotnie daliście się słyszeć. Nadeszła chwila poparcia tych sympatyj w sposób jawny, oczywisty. Narodzie angielski i ty ulituj się nad cierpieniami ojczyzny naszej. Narodzie angielski, wzywam twej pomocy, dopomóż nam!“

Najjaśniejszy Panie — gdyby wolno mi było w ten sposób przemówić, ręczyć mogę, że królowa, rząd, parlament, wszyscy zostaliby zasypani stosami petycyj, w których naród oświadczyłby uroczyście, że chce bronić naszej sprawy i że gotów jest do poświęceń.

A gdybym jeszcze dodał:

„Nie żądamy od was ani jednej kropli krwi angielskiej, ani jednego szylinga. Owszem, pragnę abyście obojga oszczędzali i chowali na potrzebę waszej ojczyzny. Dajcie nam tylko neutralność, a krajowi mojemu sprawicie ogromną ulgę!“

Gdybym takiemi, powtarzam, słowy wezwanie moje zakończył, wówczas ręczyć mogę, że od jednego końca Anglji do drugiego, od Land's End do John O'Gro'at ozwałby się jeden wielki okrzyk, domagający się neutralności, któraby Węgry osłoniła.

W. C. Mość wie, jak wielką w Anglji potęgą jest opinja publiczna. Zdarza się niekiedy, że ci, którzy stoją u steru spraw publicznych, opierają się jej, ale zawsze chylą się przed nią, gdy może im być pomocną i gdy interes nakazuje im do tej opinji się odwołać.

Moje zamiary co do sprawy, która nas zajmuje, są takie:

Najpierw skłonię lorda majora Londynu, aby przewodniczył wielkiemu metyngowi, podczas którego ja wezwę uczestników metyngu do popierania sprawy neutralności. W dalszym ciągu pobudzę w tym samym duchu i w ten sam sposób opinję w kilku wielkich miastach Anglji. Nie ma wątpliwości, że na wszystkich tych zebraniach zapadną postanowienia przychylne moim żądaniom i że znajdą one szeroki rozgłos, tak w prasie miejscowej, jak i we wszystkich dziennikach w ogóle. Tym sposobem dostarczę dość silną i pewną podstawę przewodnikom partji whigów, którzy korzystając z tych ogólnych objawów opinji publicznej, powinniby pobić przy tejże sposobności na głowę torysów. Uczyniwszy to, należy współcześnie starać się o pozyskanie im żądanej większości. Mniemam, że i to się da uczynić, a w zamian oni przyrzekną nam przedtem bezwarunkową neutralność Anglji.

Co się tyczy większości, takie są moje poglądy:

W Izbie Niższej, dwa wielkie stronnictwa torysów i whigów prawie że liczebnie są sobie równe: torysowie mają kilka, kilkanaście głosów przewagi. Prawda, że na początku kwietnia stronnictwo torysów miało mniejszość: nie dostawało mu 39 głosów. Rezultat ten nie świadczy jednak o przewadze whigów. Nie. Stało się to w ten sposób, że ze stronnictwem whigów złączyła się pewna liczba deputowanych swobodnych, bezbarwnych, z tak zwanej szkoły Manchesterskiej, na czele której stoją Cobden i Bright. Błąkają się oni między temi dwoma stronnictwami i whigowie stanowczo na nich liczyć nie mogą, chociaż zdarzają się wypadki. jak właśnie ten, o którym wspomniałem, że przystają oni do whigów i głosują z nimi.

Lord Derby, jakkolwiek nie uważał, że położenie jego było o tyle tym wypadkiem nara-

*

żone, iżby miał podać się do dymisji, odwołał się wszakże do wyborców. Mimo to wątpię, aby whigowie cokolwiek na tych wyborach, które właśnie obecnie są w biegu, wskórali. Przeciwnie dotychchczasowy rezultat każe spodziewać się, że torysowie zyskają jakie dwadzieścia miejsc; cyfra ta wszakże może okazać się niedostateczna, bo dzięki stronnictwu Manchesterskiemu, większość w obec tej cyfry zostaje jeszcze przy whigach.

Jakoż w istocie stronnictwo rozporządza w Izbie Niższej około dziewięćdziesięciu głosami; przy tej sile niepodobna mu myśleć o spłodzeniu rządu według siebie; jeżeli jednak bodaj dwie trzecie stronnictwa manchesterskiego głosuje nadal tak samo jak teraz, whigowie stają się w sposób stanowczy panami położenia. Od manchesterskiego zatem stronnictwa, od tego czy ono utrzyma się przy whigach, czy przechyli na stronę torysów, (co wcale nie jest prawdopobne), zależeć może ewentualnie los całego ministerjum, ono rozstrzygać właściwie będzie wszelkie kwestje, w których torysowie i whigowie będą w sprzeczności.

Jednym z głównych artykułów wiary tego stronnictwa jest ten, że Anglia nie powinna mięszać się do żadnych wojen kontynentalnych, z wyjątkiem jedynie tych, które dotyczą bezpośrednio spraw belgijskich. Lord Palmerston wie o tem dobrze, i co zatem idzie, wie także, że jeżeli popierać będzie w razie konfliktu sprawę neutralności, a musi się na to zdecydować, gdyż tylko w takim razie może mieć nadzieję dojścia do władzy — że przeto stronnictwo manchesterskie z zasady samej będzie z nim razem głosowało. Będzie więc w możności obalić torysów, jak tylko zechce, pomimo, że jego stronnictwo nie ma większości. Wie on wszakże jeszcze i o tem, że zanim to uczyni, musi porozumieć się przedtem ze stronnictwem niezależnem, bo gdyby tego zaniechał, dwóch tygodni przy władzy by nie pozostał, tembardziej, że stronnictwo, o którem mowa, a nadewszystko Cobden, potężny i popularny przywódca, nie lubi, bardzo go nie lubi. Jestem nawet w posiadaniu listu Cobdena w tej materji, bardzo zajmującego. Tem się tłómaczy, dla czego Palmerston, pomimo że przykro mu być przywódcą opozycji przeciw królowej *Her Majesty's opposition*, nie uważał za rzecz roztropną w tej chwili proponować votum nieufności względem gabinetu lorda Derby, pomimo iż w początkach kwietnia znalazł się opartym na kruchej podstawie, bo na mniejszości. W owej bowiem chwili mniejszość stronnictwa torysów nie była wcale wypływem potęgi whigów.

Taki jest stan rzeczy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z placu Wystawy Paryzkiej.

(Dokończenie).

Paryż 28. lipca 1881 r.

Gdybyśmy zaczęli wyliczać wszystkie ciekawości, nie prędko doszlibyśmy do końca. To cośmy przytoczyli, wystarcza już do wykazania, że dla szerszej publiczności wystawa zawiera mnóstwo przedmiotów ciekawszych jedne nad drugie.

Bez żadnej wątpliwości najważniejszem zadaniem, które jeżeli nie stanowczo rozstrzygnąć, to przynajmniej rozjaśnić ma wystawa łącznie z kongresem elektryków, jest sprawa elektrycznego oświetlenia.

Od lat kilku, rzecz ta jest na porządku dziennym. Wszyscy to dobrze czują, że dotychczasowe sposoby oświetlania są niedostateczne. Mamy przedewszystkiem w nocy za mało światła, które zbyt drogo kosztuje, a w dodatku światło to nie jest podobnem do słonecznego, więc przedmioty zmieniają swoje barwy. Ponieważ wszystkie ulepszenia w powszedniem życiu wielkich miast idą tak szybkim krokiem naprzód, więc nadzieja, że i pod tym względem zrobi się coś stanowczego, jest zupełnie usprawiedliwioną. W czasach kiedy komunikacje, asenizacja i inne porządki publiczne tak wysoko stanęły, oświetlenie nie może pozostać na jednym i tym samym punkcie.

Do zaostrzenia niecierpliwości publicznej, przyczynia się jeszcze ciągła reklama, którą bogate kompanie elektrycznego oświetlania rozrzucają na wszystkie strony. W broszurach wydawanych znajdujemy sprawozdania o kosztach urządzenia i utrzymania takiego oświetlania, cyfry, przemawiające za jego zaprowadzeniem. Wyczytać tam można najpiękniejsze nadzieje. A jednak dotąd sprawa ta nie idzie jakoś składnie naprzód, słychać tylko ciągłe odglosy walk i potrzeba stanowczego rozstrzygnięcia staje się coraz bardziej widoczną.

Któż mógłby wydać sąd lepszy, niż kongres elektryków, który będzie miał do rozporządzenia najzupełniejsze, najpiękniejsze laboratorjum elektryczne, jakie dotychczas na świecie istniało, mianowicie obecną wystawę? Znajdujemy na niej wszystko co dotychczas na tem polu wybitniejszego zrobiono. Pod ręką są wszystkie instrumenta miernicze, jakich tylko zażądać można, wynalazcy zjechali się ze wszystkich krańców świata i mogą dostarczyć wszelkich szczegółowych objaśnień. Czegoż więc można więcej pragnąć?

Dział wystawy, obejmujący oświetlenie elektryczne jest tak ważnym, a chwila obecna jest tak stanowczą, że sądzimy, iż będzie na czasie w krótkich słowach zrekapitulować w ogólnych zarysach sposoby dobywania światła za pomocą elektryczności. Są tu rzeczy dziś powszechnie znane, ale których nie dość nigdy powtarzać, tak są bowiem ważne wśród ogólnej gmatwaniny na tem polu panującej.

Elektryczne źródło światła, różni się znacznie i zasadniczo, od ognisk zwykłych, dotychczas używanych. W zwykłych lampach, świecach, płomieniu gazowym, następują gwałtowne chemiczne zamiany, szybkie połączenie się gazów z tlenem, zwane goreniem. Obecność składników chemicznych potrzebnych do palenia jest konieczną, gdy tymczasem elektryczne ognisko może świecić w próżni, i w wodzie, i w rozmaitych gazach, gaszących zwykle płomienie lamp zwykłych. Tam bowiem było działanie chemiczne, tutaj zaś jest ono przeważnie fizycznej natury. Źródło elektryczne światła powstaje wskutek zjawiska zamiany sił fizycznych.

Właściwym odkrywcą głównej dotychczasowej metody oświetlania elektrycznego, jest znakomity Humfry-Davy. Było to w r. 1813. Próbował on przepuszczać potężny prąd elektryczny przez dwa, oparte o siebie kawałki węgla które zaczęły się mocno rozrzażać. Gdy potem oddalił je nieco od siebie, wtedy końce węgla zaczęły świecić oślepiającym blaskiem, a na przestrzeni rozdzielającej oba węgle, powstał łuk, podobny do płomyku fioletowej barwy, zwany łukiem woltaicznym Światło rozlewane w około było tak wielkiem, jakiego jeszcze nigdy poprzednio na ziemi sztuczną drogą nie wytworzono.

Lecz od tego wielkiego odkrycia, do praktycznych zastosowań było jeszcze daleko. Żeby otrzymać dostatecznie silny prąd elektryczny, należało używać stosów wymagających niewzykle wiele kłopotu i kosztów. Jednem słowem prąd za drogo kosztował, a w w dodatku węgle zanadto szybko się zużywały.

Dziś te przeszkody zostały usunięte. Posiadamy machiny dynamo-elektryczne, dostarczające potężne ilości prądu, po stosunkowo bardzo nizkiej cenie. I węgla zwykłego drzewnego już się nie używa. Zastąpiono go innym. Słynny Foucault mianowicie zastąpił go węglem (charbon de coc) z retort gazowych, koksem, który daleko dłużej opiera się działaniu prądu. Potem zrobiono jeszcze dalsze ulepszenia, które zawdzięczamy pp. Carré, Archereau i innym.

Obecnie więc rodzaj oświetlania elektrycznego, wynaleziony przez Dawy'ego, redukuje się do następującego urządzenia. Maszyny wytwarzają prądy, które przebiegają do tak zwanego regulatora, czyli lampy elektrycznej. Regulator ten, mieści w sobie dwa złączone kawałki węgla, które w chwili przybycia prądu, zaczynają się rozżarzać. Każda lampa posiada aparat działający automatycznie, który zaraz potem rozdziela od siebie węgle, oddala je na potrzebną odległość, tak, że powstaje łuk woltaiczny. Automatycznie także odległość między obu końcami węgli reguluje się, i właśnie wskutek tego lampa zowie się regulatorem.

Posiadamy obecnie ogromną ilość lamp tego rodzaju, nadzwyczaj dowcipnie zbudowanych i doskonale funkcjonujących. Każdy rok przynosi z sobą nowe ulepszenia. Na wystawie obecnej znajdujemy je w komplecie.

Ulepszenia zaszły tak daleko, że dziś już pod tym względem mało nawet jest do zrobienia. Jeśli nam chodzi o wytworzenie potężnego ogniska światła, to stanowczo, elektryczność jest najlepszą i najtańszą. Tak oświetlają obecnie latarnie morskie, wielkie warstaty, perony kolei żelaznych etc.

Jednak dla domowego użytku, dla oświetlania ulic, ta metoda nie jest zupełnie odpowiednią. Swiatło jest zbyt silnem i rażącem, podczas gdy potrzeba ognisk słabszych, które możnaby było wstawić w rozmaitych zakątkach, rozdzielić w różnych pokojach itp. Próbowano więc w jeden obwód elektryczny wstawić kilka lamp, spodziewano się na tej drodze otrzymać słabsze ognisko; jednak to się nie udawało i właściwie mówiąc, to zadanie, w zastosowaniu do lamp o łuku woltaicznym zupełnym, nie zostało jeszcze dotychczas całkowicie rozwiązanem. Systemy Jabłoczkowa, Siemensa, Wilda, Jamiana są tylko połowicznem rozstrzygnięciem sprawy.

Ponieważ na tej drodze znaleziono takie trudności, więc zaczęto szukać dróg innych i dzisiaj stanęły do walki lampy oparte na innej zasadzie, wydające światło przez rozżarzenie (par incandescence), nie wytwarzające wcale łuku woltaicznego.

Jeżeli weźmiemy cienki drucik platynowy i zaczniemy przezeń prąd przepuszczać, to zauważymy, że przejdzie on w stan rozżarzenia i zacznie wysyłać od siebie na wszyskie strony ja-

sne, białe i bardzo przyjemne dla oka światło. Otrzymujemy w ten sposób nowe źródło elektryczne światła. Jestto lampa elektryczna, używająca rozżarzenia w jej formie najprostszej.

Zamiast drutu elektrycznego, możemy użyć laseczki cienkiej węgla, ażeby zużycie jego nie następowało zbyt szybko, umieścić całość w bani szklannej, z której wypompowano powietrze. Słynna lampa Edisona, o której takie opowiadano cuda, jest w ten sposób zbudowaną.

Najważniejszą zaletą tej metody, jest to, że w jednym obwodzie elektrycznym można takich lamp wstawić, ile się spodoba, byle tylko prąd był dostatecznie silnym, i to jeszcze, że światło na tej drodze otrzymane jest zupełnie spokojne, jasne, nie rażące i w ogóle bardzo przyjemne dla oka.

Najważniejszą wadą jest wielka strata prądu elektrycznego, szczególniej, jeżeli wiele ognisk naraz mamy do zapalenia i wynikające ztąd wysokie koszta.

Niektórzy wynalazcy są innego zdania, na ich czele stoi Edison. Na wystawie obecnej znajdujemy mnóstwo przyrządów należących do tego szeregu.

B. A.

PIERWSZA RÓŻA

BALLADA JAROSŁAWA VRCHLICKIEGO

przełożył z czeskiego

Bronisław Grabowski.

Sto lat miał już Lewi, rabin stary,
Ciałem chory, ale duchem jary,
W świętych księgach, czytał we dnie, w nocy,
A i czary dzierżył w swojej mocy.

Dobrze wiedział o czem szumią drzewa,
O czem ryczy zwierz, lub ptaszek śpiewa,
A jak poznał moc leczniczą kwiatów,
Tak zrozumiał drogi górnych światów.

Wszechświat, niebo, nawet wieczność całą,
Objął duszą tkliwą, myślą śmiałą;
Dwakroć przyszła śmierć — lecz marne strachy!
Rabin sobie zagrał z śmiercią w szachy.

Natrętnica wraca w krótkim czasie,
Inną tylko postać wzięła na się;
Lecz jakkolwiek sobie tu poczyna,
Nie okłamie chytrego rabina.

Wiosna wraca w krasie swej dziewiczej,
Po raz który, rabin już nie zliczy;
Nad księgami noc przesiedział całą,
Rankiem jeszcze spać mu się nie chciało...

Wtem do niego wnuczka jego miła
Krokiem łani z cicha przystąpiła,
I dziewczątko rączką swą głaskało
Zmarszczki czoła, brodę jak śnieg białą.

— Pierwszą różę dziś urwałam tobie,
Co wykwitła w wiosennej ozdobie,
Pierwszym z kwiatów jest ta róża biała,
Którą wiosna dziś nam w darze dała.

— Co ty mówisz, moje drogie dziecię? —
I wyciąga dłoń po wonne kwiecie.
— Róża! róża! — Na dół chyli skronie
I w wspomnieniach przeszłych duszą tonie...

— Daj tę różę, serce uspokoję. —
I kwiat bierze w drżące dłonie swoje;
Do jej listków ciśnie wargi blade,
Ale biada, późno poznał zdradę.

Na pierś spada głowa starca siwa,
Oko gaśnie, bladość twarz pokrywa,
Wznosi rękę w górę resztką siły,
Błogosławiąc wnuczce swojej miłej.

Ranne słonko do okien się skrada,
Patrzy jaką księgę rabin bada;
Jego dusza tam na gwiazdach w górze,
Ale ręka trzyma zwiędłą różę...

KRONIKA TYGODNIOWA.

Stolica nasza zaczyna się po trochu skupiać i porządkować na przyjęcie rozmaitych gości we wrześniu. Z letnich wycieczek wracają stali mieszkańcy, narzekając na niewygody w różnych zakładach kąpielowych, na nudy, a głównie na wysuszenie ich kieszeni. Każden, którego zapytać, jak się bawił — robi kwaśną minę, przyrzekając sobie w duszy, że na drugi rok już krokiem nie ruszy ze Lwowa... I rzeczywiście, trzeba szczególniejszego amatorstwa do włóczęgi, żeby się odważyć na powierzenie swych kości i żołądka na różne poniewierki w tak zwanych letnich mieszkaniach, po różnych wsiach i miasteczkach w Galicji. Za drogie swoje własne pieniądze, i za nadzieję oddychania górskiem powietrzem, z kąpielą w górskim potoku, doświadcza człowiek wszelkich dolegliwości tak od ludzi, jako też od zwierząt, ptaków, robaków i owadów, którzy widocznie zmawiają się na biednych mieszczuchów. Cieśniąc się w bardzo skromnej chatce, wśród upału i much, spać trzeba na twardem łożu, kąpać w błocie lub kamieniach, a jeść co Bóg dał i jak dał. To nic kiedy jeszcze pogoda, i można robić wycieczki do lasów i gór — dzień zejdzie jako tako — zjada się co bądź prowadząc gawędki z gospodarzem domu szeroko i długo o kłopotach gospodarskich i uciemiężeniach gminnych itp. Lecz niech no popada deszcz jakie pół dnia, lub dłużej, ziemia rozmoknie, że z domu ruszyć się niepodobna, to taka osierocona gdzieś tam na wygnaniu rodzina, dalibóg, że nie wie co z sobą robić. Pan, pani i panienki chodzą od okna do okna, wzdychają, ziewają spoglądając na chmury zwieszające się po górach niby stare łachmany na żydowskich parkanach. Czytać co nie ma, rozmawiać o czem nie ma, więc dla zabicia czasu wypędza się muchy ręcznikami na świeże powietrze. W ciasnem mieszkaniu dzieci z podwojoną energją harcują aż w głowie trzeszczy, pani medytuje co tu dać na obiad, bo mięsa nie przynoszą i panienka ogląda trzewiki, które wołają ratunku, a tu niewiadomo gdzie majstra szukać. Arendarz miał zabić barana i obiecał ćwiartkę. Godzina jedenasta, a wcale nie przychodzi, więc sam pan dobrodziej decyduje się iść na drugi koniec wsi do niego. Uzbroiwszy się w parasol, podniósłszy kołnierz surduta i zakasawszy majteczki, zdąża do owego Mośka czy Herszka, któremu tymczasem ani w głowie jest pozbawianie życia myślącego barana. Dotąd go nie kupił od Harasima, ale targuje już trzeci dzień, bo do szabasu ma czas, a prócz pana ze Lwowa nie ma żadnego amatora na mięso. Więc w prośby, w namowy i targi żeby pan, dajmy na to, Józef, wziął cały pośladek. Mając przed sobą śmierć głodową, na cóżby się nasz mięsożerczy Lwowianin nie zgodził! Herszko idzie do Harasima po owego delikwenta skubiącego trawę gdzieś tam na górach, a pan Józef zapaliwszy papierosa, czeka siedząc na przyzbie domu i słuchając koncertów, jakie mu bachory żydowskie za uchem w sieni wyprawiają. — Nareszcie jest winowajca, ale nie ma rzeźnika; — dalejże go sprowadzać i pan Józef, który na widok krwi lub pisku zarzynanego kurczęcia mdlał we Lwowie, teraz musi własnemi oczami patrzeć na taką egzekucją, przy której nauczyć się może tajemnic żydowskich decydujących o zdarzeniu się lub nie zdarzeniu na kuszer.

Przyniósł ów pośladek, żona się gniewa, że niepotrzebnie tak dużo, bo gdzie tu przechować to mięso do jutra... Tysiące mógłbym opisać tego rodzaju przyjemności takiego mieszkania, z którego jak się wyrwie do domu, opalona, znudzona i obdarta rodzina, to jej się zdaje, że Lwów jest rajem, a powietrze stokroć lepsze niż tam koło Delatyna.

— No, patrzaj-że pan — mówił do mnie jeden z takich podróżników — jak siedziałem na wsi, deszcz lał dzień po dniu i zimno było jak w jesieni, a kiedym wrócił, zaczynają się upały. Oto takie moje szczęście...

Koleje żelazne zaczynają już zwozić pacjentów do gimnazjów — ruch między szukającymi lokalów żywszy, właściciele się drożą, a choć przybywa co rok więcej domów — mieszkań porządnych co raz mniej i coraz są droższe. — Teatr letni ślizga się na operetkach i starzyznach ludowych, Holden przyjechał i bawi starych i młodych swemi marjonetkami, o których sążniste afisze rozlepione po rogach ulic z przeraźliwie czerwonemi głowami cuda opowiadają. Menażerja zapowiada swój przyjazd razem jakoś z sejmem, który będzie otwartym 14. września, prokuratorja konfiskuje ruskie dzienniki parę razy na tydzień, przeplatając dla rozmaitości konfiskatą „Dziennika“ lub „Narodówki“, a kto tylko żyje i ma parę centów w kieszeni, zajada owoce, których w tym roku mamy obfitość i to w najpiękniejszym gatunku.— Magistrat, jak zwykle, rujnuje bruk na ulicach, Tramwaj robi dobre interesa i rozjeżdża ludzi — ot wszystko tak samo, jak dawniej. Jedną tylko nowość mamy do zanotowania, to jest samobójstwo konia. — Tak jest, szanowni czytelnicy, sam koń się zabił, jak o tem donoszą wiadomości policyjne, nie wiadomo tylko z jakiej przyczyny, z miłości, czy rozpaczy... Ale śledztwo się toczy i na przyszły tydzień mam nadzieję donieść o jego rezultacie czytelnikom.

ROZBITKI.

Komedja w 4-ch aktach

przez

JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Łechcińska. No, to i to nie bagatela! Poniatowscy... i niechżeby im przyszło co robić; pracować na życie, Jezus! oni tak przywyczajeni do państwa, do wszelkich wygód, czyżby

to mogli przenieść? chociaż nasza pani, to święta, anielska kobieta! pełna rezygnacji, a co za matka! nie ma ofiary, którejby nie była gotową zrobić dla dzieci... bo czyż to nie prawdziwa ofiara, pozwolić panu Maurycemu żenić się z córką takiego Dzieńdzierzyńskiego? zkądże to wyszło? jakiś kupiec!

Kotwicz. (z gorzką ironją). Także miljoner... (po ch. z niechcenia). Te pieniądze, o których pani Łechcińska wspomniała, to pewno po referendarzu.

Łechcińska. Być może... nie wiem.

Kotwicz. (machnąwszy ręką). Na księżycu.

Łechcińska. O, bardzo przepraszam, nie na księżycu... ah! gdyby był referendarz trochę jeszcze pożył, inaczejbym śpiewała... byłby się ożenił ze mną jak amen w pacierzu... ale i tak mi zapisał. Zapierają mi, szachrują, przekupują w sądach, ale wydobędę! wydobędę! choćby mi przyszło nie wiem co...

Kotwicz. I dużo tego?

Łechcińska. Pokaże się w swoim czasie... ale, jaki hrabia ciekawy... (n. s.) Jezus! żebym ja go też złapała! (głośno) ale my tu gadu, gadu, a nic o interesie... niechże hrabia się postara tego Strasza sprowadzić dziś do nas koniecznie... trzeba to zrobić dla pani.

Kotwicz (z godnością). Dla czegoż kuzynka nie raczyła wtajemniczyć mnie w powody...

Łechcińska. Dla czego, dla czego... kiedy hrabiemu to trzebaby zaraz tak, o!... (wystawia język i pokazuje palcem urznięcie).

Kotwicz. Doprawdy! nie zasługuję na zaufanie? więc dajcież mi pokój.

Łechcińska. Ale za pozwoleniem... swoją drogą sama powiedziałam pani... to tak jak mnie hrabia żywą widzi, że tu bez hrabiego się nie obejdzie... jak matkę kocham: któżby to zrobił? ciekawam... na samego pana nie ma co rachować.

Kotwicz. Jeszcze czego! stary pedant.

Łechcińska. Młody także nie do tego.

Kotwicz. Więc?

Łechcińska. Wszystko opowiem szczegółowo, tylko siadajmy, bo mi nogi ścierpły... (siadają na ławeczce po prawej) Otóż, widzi hrabia, rzecz się ma tak... (tuż za nimi pada strzał, Łechcińska z wielkim krzykiem rzuca się Kotwiczowi na szyję; on podobnież drgnąwszy chwyta ją wpół) Jezus! jakżem się przelękła... (spuszczając oczy i odejmując ręce). Przepraszam hrabiego.. nie wiedziałam co się ze mną dzieje.

Kotwicz. (nie puszczając jej). Ale fe! taka nieostrzelana?... (n. s.) One jednak wszystkie mają w sobie coś te kobiety... (pada drugi strzał, i zaraz po nim śmiech; oboje z krzykiem padają sobie w objęcia).

Łechcińska (zrywając się) Ah! dla Boga! oni nas jeszcze postrzelą, jak matkę kocham.. uciekajmy ztąd... znajdźmy sobie jaki kącik spokojny do pogadania.

Kotwicz. Jest racja... pójdźmy do kątka... (wychodzą spiesznie w głąb ku prawej stronie).

SCENA III.

Maurycy, Władysław, Dzieńdzierzyński, (potem) *Michałek.* (Dzieńdzierzyński w eleganckim stroju myśliwskim z wszystkiemi przyborami, przy kordelasie, ale mina mieszczańska; wyrazy francuskie wymawia mocno polskim akcentem).

Dzieńdzierzyński. Tak się strzela moi panowie... cały nabój w centrum!... (do Władysława wskazując na Maurycego, który na boku zwija papieros) Voyez vous quel nez... jak mu się nos wyciągnął... nie strawi tego mojego tryumfu... ale bo też to był strzał kapitalny... (n. s) zkąd mi się wziął, ani wiem... (głośno). No cóż, nic nie mówisz?

Władysław. Zdziwienie odebrało mi mowę.

Dzieńdzierzyński. Aha! zdziwienie... widzisz! nie spodziewałeś się?

Władysław. Ale bo papka tak sobie z pod pachy strzelił.

Dzieńdzierzyński (dotknięty). Comment? jakto z pod pachy? co gadasz! czy myślisz, że nie wiem, jak trzymać strzelbę, ja, myśliwy.. z pod pachy?

Władysław. Proszę! papka myśliwy, a nie zna myśliwskiego wyrażenia... z pod pachy, to jest zniechcenia, nie mierząc, tak sobie, o!... (pokazuje, podrzucając strzelbę lufą ku niemu).

Dzieńdzierzyński (przechodząc na drugą stronę). Savez vous quoi, c'est bon! (śmiejąc się). Złapałeś mnie za słówko... no! patrzcie! przecie znam doskonale... rzeczywiście, prawie nie mierzyłem... je n'ai pas mésuré, ma parole... tak sobie, paf!... to już z natury, znajcie prawowiernego szlachcica, którego nie macie żadnej racji prześladować o mieszczańskie nawyknienia, jak to lubicie...

Władysław. Papko! żarty... żarty...

Dzieńdzierzyński. Jeżeli burze krajowe jednego z moich przodków wypędziły do miasta, gdzie się wziął do kupiectwa... comme cela, z nudów... pour le passez temps, to mimo to, nie przestaliśmy być szlachtą łęczycką, piskorzami z dziada pradziada... Dzieńdzierzyńscy de Kurzy-Jama... weź herbarz!

Władysław. Więc serjo, to dla tego papka trafił w centrum?

Dzieńdzierzyński. Comment? a dla czego? dobra krew przemówiła, i kwita.

Władysław. Fe!... któż dziś wierzy w takie przesądy.

Dzieńdzierzyński Mój panie Władysławie... jak można odzywać się w ten sposób, comment peut-on? to świętokradztwo... (uroczyście) Są rzeczy sakramentalne, których lekceważyć nie wolno... kpijcie sobie ile wam się podoba z majątku, bo tego lada dureń może się dorobić; ale to co mamy po antenatach, imię, stanowisko, noblesse oblige, którego za pieniądze nie kupi, powinniśmy czcić jak świętość.. Panie Maurycy, nieprawdaż?.. poprzej mnie...

Maurycy. Ale czy go pan nie zna?... kontent, gdy może dowcipkować.

Dzieńdzierzyński. Masz rację, z nim nie ma szansy.

Władysław. Ale bo papka jest plus pape, que le pape.

Dzieńdzierzyński. Savez vous quoi, c'est bon!... to mu się udało... papka plus pape que le pape... ha, ha, ha... to jest niby innemi słowy, że... (n. st.) co to właściwie może być? (tuż za sceną słychać parę zadęć trąbki) A! mój Miszel... (bierze trąbkę i dmie w nią, wydobywając tylko chrapliwe tony; za pierwszem zadęciem Michałek wchodzi i staje tuż przy nim). Cóż u djabła! czy tę trąbkę kto zaczarował... (do Michałka) Gdzieżeś ty się chował? trąbiłem aż mnie płuca bolą.

Michałek. Słyszałem, ale nie mogłem odtrąbić, bo upatrzyłem kota, i nie chciałem go płoszyć.

Dzieńdzierzyński. Aha!

Michałek. Zaprowadzę jaśnie pana prosto do kotliny, jaśnie pan będzie miał satysfakcję.

Dzieńdzierzyński. Bon! (n. s.) plus pape que le pape... muszę się spytać Poli, co to znaczy... (głośno) ale on ucieknie tymczasem.

Michałek (ciszej). Nie ucieknie, bo już ze dwie godziny, jakem go zastrzelił... leży pod sosną.

Dzieńdzierzyński. Cicho! (ściska mu ramię) Masz u mnie rubla, tylko tak zrób, żeby się nikt nie domyślił... (głośno) Je vous dis, mój Miszel to perła między strzelcami... nieraz jem sobie śniadanie, a on przychodzi i powiada: jaśnie panie, upatrzyłem w kotlinie zająca. Bon! gdzie? przy borsuczych dołach; nawiasem mówiąc, pół mili drogi... un joli morceau... zaprzęgać! jedziemy... prowadzi mnie, ustawia w dobrem miejscu, a sam idzie prosto na kota... wystrasza go, kot pomyka, kiedy sadzi w najlepsze, ja paf, paf...

Władysław. Kot sadzi jeszcze lepiej...

Dzieńdzierzyński (zbity z tonu). A to jakim sposobem?

Władysław. No, ze strachu; cóż dziwnego.

Dzieńdzierzyński. Ale nie ma czasu, bo go trafiam... koziołkuje w miejscu... i finita la comedia.

Władysław. Dramat chyba.

Dzieńdzierzyński. No dla niego dramat, to prawda... ale dla mnie...

Władysław. Czyż to papce robi przyjemność?

Dzieńdzierzyński. Comment? to nie ma robić przyjemności?

Władysław. Ciekaw jestem jaką... (patetycznie) że biedne zajączysko, które nikomu nic nie zawiniło, porażone z pańskiej ręki, skrzecze głosem krającym serce? to ma być przyjemność? winszuję

Dzieńdzierzyńskt. (patrząc na Michałka). Skrzeczy?

Władysław. Czy papka tę krwiożerczość odziedziczył po przodkach?

Dzieńdzierzyński (n. s.) Już ci że to nie musi sprawiać milej sensacji...

Michałek. Jaśnie panie, jeżeli mamy iść, to się spieszmy, bo kot może nie dosiedzieć.

Dzieńdzierzyński (po chwili wahania). A dobrześ go zabił?

Michałek. Ani zipnął.

Dzieńdzierzyński. Ręczysz, że nie będzie skrzeczał?

Michałek. Chyba na rożnie.

Dzieńdzierzyński (z fantazją do Władysława). Mów sobie co chcesz, jak się ma już żyłkę, to się ma... nie wyprujesz jej.. (do Michałka) No, idź naprzód... allons... (do siebie) plus kap... klu pak... jakże tam, a! plus papa que le papa... (wychodzą na prawo, Dzieńdzierzyński odwodzi kurki od strzelby i trzyma ją w pogotowiu do strzału).

SCENA IV.

Maurycy. Władysław.

Maurycy. Mój drogi, przestań też raz tej zabawki niegodnej ciebie.. nie rozumiem co za przyjemność brać na fundusz człowieka, który nawet nie potrafi się bronić.

Władysław (śmiejąc się). To tak w kółku familijnem... za to za oczy, zawsze go bronię, szanując w nim bądź co bądź zacny charakter.

Maurycy. Twój humor drażni mnie.

Władysław. Dla czego?

Maurycy. Dla tego że ja go mieć nie mogę.

Władysław. A to egoizm!

Maurycy. Tyś kontent ze wszystkiego, począwszy od siebie, a ja nieraz miałbym doprawdy ochotę w łeb sobie palnąć.

Władysław Tak kiedy wolnym czasem, w braku innej rozrywki.

Maurycy. Zaręczam ci, że nie żartuję... bywają chwile, żeby mnie to nic a nic nie kosztowało... te kajdany, bez których kroku zrobić nie mogę, zanadto mi już ciążą.

Władysław. Jakie kajdany? chyba ukryte w twojej wyobraźni.

Maurycy. Zazdroszczę ci, żeś się od nich wyzwolił... jedna krew w nas płynie, a jakżeśmy daleko od siebie! te wszystkie względy które mnie krępują, dla ciebie nie istnieją... najswobodniejszy w świecie w swoim domku pod słomianą strzechą, dorabia się, orze, sieje, ujada się z parobkami.. i szczęśliwy! ah! gdybym ja tak mógł!

Władysław. Przypominasz mi tego właściciela pensjonatu, który zajadając przy uczniach kapłona, zazdrościł im kaszki na wodzie i kartofli w mundurach, mówiąc: ah! jakbym ja to jadł! To tylko obłuda, mój bracie, bo gdybyś chciał tobyś i mógł.

Maurycy. Dajże mi sposób.

Władysław. Bardzo prosty: powiedz sobie raz, ale tak na serjo, że jesteś zwykłym śmiertelnikiem, ani mniej ani więcej, tylko takim samym, jak tysiące innych ludzi, którzy zarabiają na chleb w pocie czoła.

Maurycy (ironicznie). I to już wszystko?

Władysław. Dodaj jeszcze, że człowiek z urodzeniem nie jest bydlątkiem, uwiązanem przy żłobie, do którego opatrzność powinna sypać goły owies, bo to jest rola opasów przeznaczonych wyłącznie na rzeź... a kto ma pretensję żyć nie zawadzając na świecie, musi się trochę potrudzić... taka reguła, i święty Boże nie pomoże!.. pod tym względem dola ludzi i bydląt zupełnie jednaka.

Maurycy. Bardzo ładnie... więc z tego sens moralny, żeby schować do kieszeni wszystkie pretensje wyssane z mlekiem, ugruntowane przez nałóg, wyrzec ich się publicznie, i za twoim przykładem zakasawszy rękawy, chwycić za pług nieprawdaż?

Władysław. Czy byś nie miał do tego siły?

Maurycy. Miałbym, gdybym był sam jeden, jak ty.. Zapominasz, że mam rodziców?

Władysław. Tem silniejsza pobudka.

Maurycy. Zatem, podług ciebie, mam ich skłonić, aby sprzedali majątek, pospłacali długi, i za resztki, któreby nam pozostały, kupili parę włók gruntu z chałupką pod lasem, w romantycznem położeniu, w którejbyśmy usiedli wszyscy razem, i rozpoczęli sielankowy żywot dorabiając się na nowo?... ha, ha, ha... czyżby oni w tych warunkach wyżyli?

Władysław. A! mój drogi, już na to nie mam co powiedzieć.

Maurycy. Dla nich całą nadzieją jestem ja! wychowali mnie na filar upadającego domu...

Władysław (n. s.). Piękny filar.

Maurycy. Przejęci wiarą, że świetna przyszłość należy nam się z prawa urodzenia, wpajali ją we mnie, kołysali bajeczkę o księżniczce z djamentami, która spłynie z obłoków i odda mi swoją rękę.

Władysław (ironicznie). Aha! tymczasem zamiast księżniczki...

Maurycy. To mnie dobija.

Władysław. Więc kupcówna ci nie w smak?

Maurycy (unosząc się). Że też ty z najświętszych rzeczy musisz drwić!

Władysław. Nie wiedziałem, że przesądy kastowe są taką świętością... bije się w piersi...

Maurycy (j. w). Człowieku! czy ty nie widzisz co mnie nęka?... rola moja upokarzająca w całym tym stosunku... wstydzę się jej, a nie mam na to rady... jeżeli mi odda rękę, to wbrew swojej woli, bo wpływają na nią... już nie mówię, kto inny, ale własny ojciec, zachwycony widokiem koligacji z nami.

Władysław. A ty?

Maurycy (po chwili). Czyż tu o mnie chodzi?

Władysław. Ale powiedzże mi tak otwarcie... jesteś gotów do tej ofiary?

Maurycy. Ofiary! wiem że niejeden tak to nazwie.

Władysław. Więc tak nie jest? (Maurycy milczy) Masz dobrą i nie przymuszoną wolę? nie zrażają cię te malutkie względy i względziki, na które światek tak lubi kręcić nosem?

Maurycy (z zapałem). To jest anioł!

Władysław (zdziwiony). Ba! także mi gadaj!... (po chwili) Jak się to można omylić! ja byłem pewny, że ty się przymuszasz dogadzając woli rodziców... co większa, (ciszej) byłbym przysiągł, że ta mała Zuzia naprawdę cię przywiązała do siebie.

Maurycy (rozdrażniony). Czy i ty zaczynasz się już bawić w babskie plotki?

Władysław. Jeżeli doszło coś do mnie, ręczę ci, że mimo chęci.

Maurycy (gwałtownie). I wierzyłeś temu?... (śmiejąc się z przymusem) dziewczyna prosta, ograniczona... co za myśl, co za myśl! żeby zabawkę bez konsekwencji...

Władysław. Jakto bez konsekwencji? pozwól, że to już wyrafinowany egoizm...

Maurycy (niecierpliwie). Ale niemasz najmniejszej racji do moralizowania, boto wszystko co możesz powiedzieć, ja sobie już dawno powiedziałem!... jeżeli kiedyś były z mojej strony jakie zamiary niekoniecznie godziwe, to ich żałuję.

Władysław. Ba!

Maurycy. Nie posunąłem się tak daleko, żeby mi nie wolno było się cofnąć!

Władysław. No, chyba.

Maurycy. I daję ci słowo, że dziś już z tego wszystkiego nie ma nic.

Władysław. Słowo honoru?

Maurycy. Słowo honoru nic a nic! Czyż możesz przypuszczać, żebym ja jeszcze dawał powody do plotek?

Władysław (po chwili). Skoro tak, gdy kochasz Polę, więc o cóż ci chodzi?

Maurycy (z gniewem). O nią! o nią!... o jej wzajemność, szacunek, o pewność, że mną nie pogardza!

Władysław. Pierwsze wystarczy. Największą pewność będziesz miał, gdy ją rozkochasz.

Maurycy. Z tobą nie można mówić otwarcie.

Władysław. To jedyny środek... zresztą, czyż to tak trudno?... mój drogi, żeby cię przekonać, gotów jestem zrobić ci wyznanie... o którem dawno myślałem, ale... jakoś... nie przyszło do tego... Cóż powiesz na to, że ja, którego zasady znasz, nie wiedząc sam jak i kiedy, doprowadzony zostałem do tej ostateczności, że się zakochałem po uszy, i robię krok, który zimny rozum może potępić.

Maurycy. E!

Władysław. Nie wierzysz? Więc posłuchaj!.. Postawiłem sobie był za prawidło ignorować kobietę, o ile nie przedstawiała widoków odpowiednich moim celom. I udawało mi się to przez czas jakiś. Najokrzyczańsza piękność, skoro nie znajdowała się w warunkach dostępnych, robiła na mnie wrażenie tylko pięknego posągu. Ta uwaga, że ona nie dla mnie, była okładem z lodu, który mnie zabezpieczał najdoskonalej... Tymczasem, znalazła się osoba, i to notabene osoba znająca mój sposób myślenia, która wzięła sobie do serca, żeby zburzyć cały ten gmach mądrych postanowień z taką troskliwością wzniesiony... i dokazała swego... Ale ty mnie nie słuchasz, i nie ciekawyś nawet dowiedzieć się, kto jest ta czarodziejka?... Otóż odkryję ci tajemnicę, bo i tak wkrótce dowiedziałbyś się .. jest to... twoja siostra.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCJA.

Z Wilna w sierpniu 1881 r.

Poruszona od niedawna sprawa grobowca Syrokomli, który podług relacji korespondenta z Wilna, miał być zaniedbany — zniewala mię w imię prawdy słów parę o tem powiedzieć. Otóż przybywszy do Wilna, udałem się na „Rossę“ aby obejrzeć grób Syrokomli — Znalazłem go w najlepszym stanie. Kamień grobowy, obyczajem wileńskim, otoczony roślinnością, w niczem nieuszkodzony, napis wyraźny. Słowem, znać rękę, która troskliwie grób ten pielęgnuje. Alarm więc był fałszywy; — a należy też przyznać, że i szkodliwy. Przyzwyczaja to bowiem do powątpiewania i niewiary wtenczas nawet, gdy wierzyć i działać należy. Że autorowi tej fałszywej wiadomości, grób Syrokomli wydawać się może zbyt skromnym — w stosunku do zasług, jakie położył i czci, jaką mu kraj winien — to rzecz inna; — i na to się zgodzić można, lecz żeby miał być opuszczonym i zaniedbanym, to jako żywo nieprawda.

Co jest dla Wilna fatalnem, i co dzieje się tu bezkarnie, — to odnawianie i malowanie kościołów. Oprócz św. Michała, i św. Katarzyny, które umiejętnie i sumiennie odnowiono, pod kierunkiem ludzi fachowych, wszystkie inne, zacząwszy od katedry, z wyjątkiem pomnikowej tablicy na ścianie kaplicy św. Kaźmierza, najsmutniejsze dają świadectwo nieuctwa i nieposzanowania dzieł sztuki i pamiątek. — Zawiadowcy tych kościołów, wbrew przyjętym indziej zwyczajom, — nie radząc się nikogo, chociaż nie brak w Wilnie architektów, inżynierów i malarzy, jak niemniej i ludzi wykształconego smaku, kierują się własną fantazją, ile razy idzie o restaurację powierzonych im świątyń. Przerabiają, rozwalają, murują nowe ściany, zacierają stare malowanie i malują podług swego widzimisię i chwilowej potrzeby. W kościele św. Anny, tym naszym klejnocie ostrołukowego stylu, znany ks. Kopciuchiewicz, kazał do koła nawy kościelnej, namalować żydom, zieloną firankę — co jakby na urągowisko, przypomina bety żydowskie.

Ma to być arcydzieło pomysłu tego męża jak o tem sam się wyraża. I co smutniejsza, nie ma tu nikogo, coby miał dość energji, aby mu otwarcie powiedzieć, że się *tak robić nie godzi*, i że jeżeli proboszcz ma prawo rozporządzać się w zakrystji, to nie ma go wcale, gdy idzie o gmach kościelny, o dzieła sztuki i pamiątki, które są własnością miasta i kraju — i bez jego wiedzy nie powinny być tknięte. Tymczasem inaczej się dzieje i manija podobnych restauracyj stała się dziś prawdziwą plagą. Nie odmawiamy uznania dobrych chęci, które niejednokrotnie tym odnawianiom towarzyszą, alež jeszcze nie dość chcieć — trzeba umieć.

W każdym razie pożądanem by było, aby ktoś, do kogo to należy, raczył się zainteresować, ażeby nadal podobne się szkody nie działy. Cenimy dobre chęci, ale nie możemy nie ubolewać nad brakiem znajomości rzeczy, który najczęściej u nas tym chęciom towarzyszy. Gdy zaś kraj nie posiada dotąd instytucji konserwatystów, których pomyślne skutki widzimy gdzie indziej więc ogół społeczności ma obowiązek czuwać nad wszystkiem, co poszanowania warte i karcić samowolę wandalską, gdzie tego potrzeba.

Apatja jest tu grzechem.

E. Pawłowicz.

TEATR.

Nie można brać za złe naszej publiczności, że obecnie więcej jak kiedy, chętnie uczęszcza na operetki, a unika teatru, gdy afisz zapowiada komedję — zachodzi bowiem wielka różnica między wykonaniem pierwszej a drugiej. — Podczas gdy egzekucja operetek wypada prawie zawsze, rzec można — wzorowo, a przynajmniej znać w każdym kierunku chwalebną staranność; tak bowiem siły solowe jak i choralne należycie spełniają swe zadanie, a inscenerja i reżyserja mało pozostawiają do życzenia, to natomiast przedstawienia komedji i fars (bo o dramacie w obecnych stosunkach i mowy być nie może) odznaczają się zaniedbaniem, brakiem przygotowania tak ze strony reżyserji jak i wielu artystów, wskutek czego i najlepsze sztuki po jednorazowem wystawieniu upadają. Kontrast ten najjaskrawiej się ujawnił między wznowioną operetką „Angot“, która pod każdym względem wypadła doskonale — a przedstawieniem wtorkowem niegdyś tak znakomicie granej na naszej scenie komedji W. Sardou „Andrea“. Pomijając złą grę poszczególnych osób, całość robiła wrażenie szlachetnych usiłowań amatorów, lecz nie artystów sceny stołecznej. P. Lubicz w głównej roli hr. Toeplotza, nie chciał czy nie umiał być człowiekiem w gruncie zacnym a chwilowo tylko błądzącym, jak tego autor pragnie, lecz przedstawił nam cynicznego wietrznika bez serca i sumienia, w skutek czego cały akt trzeci, stanowiący kulminacyjny punkt roli, wypadł blado i niesmacznie — *Stella*, odtworzona przez pnę Sułkowską, mogłaby być bohaterką chyba *café-chantant'u* a nie baletu, której jedną pończochę płacą tysiącami. Pnę. Cichocką skrzywdzono bardzo, powierzając jej najniestosowniej rolę lekkomyślnej baronowej de *Lussau*. Mała to dla widzów była pociecha, że p. Zboiński wybornie odegrał zniedołężniałego Baltazara, a pni Woleńska z prawdziwem uczuciem i staranną grą umiała utrzymać sympatję dla bohaterki sztuki, mimo nieodpowiedniej gry p. Lubicza lub niesfornych hałasów „ciała dyplomatycznego“, psujących artystce najdramatyczniejsze sceny w akcie drugim.

Zapewne, że dyrekcja nie małe ma trudności przy obsadzie ról w sezonie letnim, gdy prawie wszystkie pierwszorzędne siły bawią na urlopie, ale w takim razie nie należy dawać sztuk, które z obsadą drugorzędnemi siłami stają się niemożliwe, czem się dyskredytuje sztukę na przyszłość. Przedewszystkiem jednak powinna dyrekcja na to zwrócić uwagę, aby te sztuki, które i z danemi siłami mogą być grane, większą starannością były otoczone. Od dłuższego już czasu dzieje się inaczej, a w takich warunkach najlepsze komedje grywane będą przed pustemi ławkami.

Hilary J.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Balzac Honoriusz.* Komedja ludzka tom III. Ojciec Goriot w przekładzie Amelji Bortmuckiej. 8ka, str. 220. Warszawa 1881 1 złr. 15 ct.

— *Balzac Honoriusz.* Tom IV. Lekarz wiejski w przekładzie Hajoty. 8ka, str. 187. Warszawa 1881. 1 zł. 15 ct.

— *Bądzkiewicz Antoni.* Wypisy polskie. Część średnia. 8ka, str. 450. Warszawa 1881. 1 zł. 30 ct.

— *Berger.* Przewodnik dla młodzieży dojrzałej. 8ka, str. 134. Lwów 1882. 1 zł.

— *Boczyński Józef.* Nowa amerykańska konkurencja zbożowa i jej znaczenie dla rolników europejskich. 8ka str. 40. Warszawa 1881. 51 ct.

— *Bodziec.* Kartki satyryczno-humorystyczne zebrał Alfabet. 4o, str. 26. Wilno 1881. 45 ct.

— *Chmielowski Piotr.* Poezja w wychowaniu. 8ka, str. 42. Wilno 1881. 45 ct.

— *Chodźko Ignacy.* Pisma. Wydanie nowe z portretem autora (na stali) 4 serji w trzech tomach 8ka. str. 469. 477. 535. zawiera: Tom I. II. Obrazy litewskie tom III Dwie konwersacje. Próby nowego dykcjonarza. Wilno 1881. 7 zł. 50 ct.

— *Ćwikliński Ludwik.* Homer i Homerycy. Rzecz o studjach i przekładach Homera, szczególnie w Polsce. 8ka str. 155. Lwów 1881. 1 zł. 80 ct.

— *Czapla Józef.* Przyczyny naszego upadku, oraz środki zaradcze. 8ka, str. 68. Toruń 1881, 36 ct.

Definicja choroby difteritis, oraz pewny sposób jej leczenia. 8ka. str. 11. 8 ct.

— *Dzieduszycka A.* Książka młodej kobiety. 8ka, str. 158. Warszawa 1881. 90 ct.

— *Erckmann Chatrian.* Historja rekruta z 1813 roku. 16ka, str. 244. Warszawa 1881. 60 ct.

— *Estreicher K.* Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie (1807 – 1832). 8ka, str. 202. Lwów 1882. 2 zł. 60 ct.

— *Grimm Paweł.* Tajemnice pałaców carskich za panowania Mikołaja I. przełożyła z francuskiego. A. W. 8ka, str. 379. Lwów i Sambor 1881. 2 zł. 50 ct.

— *Jabłonowski Ignacy.* Zbiór zadań arytmetycznych zastosowanych do wszystkich reguł niższej i wyższej arytmetyki dla użytku uczącej się młodzi ułożony. 8ka, str. 152. Wilno 1881. 90 ct.

— *Jeż Teodor Tomasz.* Wnuk Chorążego. Powieść w dwóch tomach. 8ka, str. 340 283. Warszawa 1881. 3 zł.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Znakomity nasz powieściopisarz T. T. Jeż (Z Miłkowski), po półrocznym pobycie w Paryżu, powrócił do stałej swojej siedziby w Genewie.

Wielkie powodzenie, jakiego doznało we Francji francuskie tłómaczenie „Uskoków“, skłoniło paryskiego wydawcę tej powieści do zamówienia u Jeża romansu francuskiego z epoki Henryka III.

Autor „Krwawych dziejów“ wziął się do tej nowej dla siebie pracy ze zwykłą sobie energją i pracowitością.

*** Słyszeliśmy, iż pan P. Polewoj zamierza zająć się wydawaniem utworów Adama w przekładzie rosyjskim.

W wydanie to wejdą liczne pośmiertne przekłady Benediktowa, i między innemi jego tłómaczenie „Pana Tadeusza“, nigdzie dotąd nie ogłoszone drukiem.

Z innych znajdują się w tej edycji przekłady pp. Minajewa i Siemionowa.

*** Pani Grandvil przełożyła wdzięcznym wierszem na język francuski balladę Mickiewicza: „Czaty“.

Utwór rzeczony wydrukowała wiedeńska *Semaine*.

*** Wydawnictwo „Bibliotheque utile“ pomieszcza w ostatnim zeszycie ważną pracę Zaborowskiego: „Les grands singes, o której krytyka specjalna wyraża się pochlebnie.

*** Zmarła niedawno rodaczka nasza Elżbieta Jerichau-Baumanowa pozostawiła dzieło, tłómaczone z duńskiego na niemiecki p. t. „Jugenderrinerungen“, w którem znajdują się cenne materjały do historji naszych stosunków, poczynając od 1825 do 1842 r.

*** Teodor Elsholz wydaje bibljografię krytyczną dziennikarstwa w państwie rosyjskiem.

Tom trzeci ma być poświęcony naszym czasopismom...

*** Komedja Jana Aleksandra Fredry „Mentor“, przełożona na język niemiecki przez p. Lange, przedstawioną ma być niebawem w Burgteatrze wiedeńskim.

*** Znany romansopisarz czeski, autor głośnego romansu „Stracony żywot“, p. Gustaw Pfleger Morawski, napisał również kilka jednoaktowych komedyjek.

Jedną z nich p. t. „Telegram“ wystawiono w Warszawie.

*** W Moskwie otworzone zostanie „Muzeum historyczne“, które pomieści się w umyślnie na ten cel wzniesionym budynku. Kierunek nad robotami artystycznemi objął znany archeolog hr. Uwarów, który wszedł w układy z p. Siemiradzkim co do ozdobienia freskami i ornamentami sali „pierwszych czasów chrześcijaństwa“. Układy te podobno już zostały ukończone.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.